

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2018 | NR II



Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2018 | NR II

PORTRET

David Remnick o politycznej nadziei Ameryki

ROZMOWA

Karol Modzelewski mówi o narodowej dumie i wstydzie

LITERATURA

Aleksandra Zielińska Jakub Żulczyk

ESEJ IDEE

Andrzej Leder: zdobyliśmy niepodległość, utraciliśmy Zachód

REPORTAŻ

Gdy bezdomność dotyka bliskich

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



Kup książkę

MAGAZYN OPINII Pismo.

LISTOPAD 2018

OPOWIADANIE

Drugie ciało | 2

JAKUB ŻULCZYK

Diese Rotznase | 90

ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

POEZJA

Pan Janek | 32

DOMINIK BIELICKI

Hospicjum | 73

JAKUB PSZONIAK

moja mała | 80

URSZULA HONEK

ANECDOTA

Przetwory | 60

ELIZA KĄCKA

OBRAZ

KOLAŻ **Wycinanki polskie** | 36

ALICJA BIAŁA

KOMIKS **Nos** | 68

BARTOSZ SZTYBOR / HENRYK

SZKIC **Kanapka** | 83

MICHAŁ RZECZNIK

ŻARTY RYSUNKOWE **Szkice do historii**

AGNIESZKA SZCZEPANIAK

OKŁADKA **Niepodległa. Niepodzielna**

PAWEŁ JOŃCA

PORTRET/ROZMOWA

8 | To nie jest kwestia hematologii

ROZMOWA Z KAROLEM MODZELEWSKIM o patriotyzmie, wstydzie i dumie

26 | Anita Dolly Panek. Zacząć życie na nowo

KAROLINA GAWLIK kreśli portret niezwyklej emigrantki

42 | Alexandria Ocasio-Cortez. Lewa strona tego, co możliwe

DAVID REMNICK (THE NEW YORKER) i polityczna nadzieja Ameryki

REPORTAŻ

18 | Bracia bezdomni

DOROTA BORODAJ: gdy bezdomność dotyka naszych bliskich

PODRÓŻ

50 | O dwóch wyspach i jednej wojnie

KAROLINA SULEJ na Falklandach w cieniu wojny

ESEJ

62 | Rok 1918. Polska i Zachód na rozdrożach

ANDRZEJ LEDER: kiedy Polska odzyskała niepodległość, oddaliła się od Zachodu

HISTORIA OSOBISTA

74 | Maria, Marjanka

(H)ANKA GRUPIŃSKA opowiada o odchodzeniu i poczuciu straty

WOKÓŁ KSIĄŻEK

84 | Tyra i kara

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ o tym, że praca to opresja, a nie satysfakcja i rozwój

FELIETON

7 | Fenomeny

NATALIA FIEDORCZUK-CIEŚLAK

35 | Podglebie

HALINA BORTNOWSKA

59 | Światowe życie

DARIUSZ ROSIAK

96 | Tymczasem

MARCIN WICHA

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957
Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa,
Redaktor Naczelny: Piotr Nesterowicz, Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Redaktorka Działu Rzeczywistość: Magdalena Kicińska, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,
Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Zofia Sawicka, Dorota Śrutowska,
Barbara Zarzecka, Public Relations: Ewa Salamon, Reklama: reklama@magazynpismo.pl,
Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata, Wydanie Cyfrowe: www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę

Drugie ciało

tekst JAKUB ŻULCZYK

Siedziała na przystanku autobusowym. Przystanek, zamiast ją osłaniać, eksponował, czuła się, jakby ktoś przykleił ją do dziesiątki na tarczy. Jednak nie wstawiała z zimnej, plastikowej ławki, bo nie miała już siły. Przyciskała kolana do brody, obejmując nogi ramionami. Wyobrażała sobie, że jest żółwiem.

Była tu od dziesięciu dni. Wyskoczyła z pociągu towarowego, gdy tylko zobaczyła na horyzoncie światła miasta, i powoli, małymi krokami, kierowała się w stronę centrum. Tak przynajmniej jej się wydawało – jeszcze do niego nie doszła.

Chowała się. Dnie spędzała w krzakach, zagajnikach, na podwórkach kamienic nieopodal śmietników, w towarzystwie kotów i szczurów; nocami włóczyła się po peryferiach, odbijała się od zamkniętych sklepów, nigdy nie spotykając nikogo. Tylko czasami w ciemności dawało się słyszeć ciche szurnięcia, widać było, przez krótki moment, ślad sylwetki. „Duch, taki jak ja”, myślała. „Duchy ze sobą nie rozmawiają”, dodawała w myślach.

W końcu, po dziesięciu dniach spacerów na ślepo, wydostała się z dzielnicy blokowisk, która w pewnym momencie zaczęła wydawać jej się nieskończona, i dotarła do dzielnicy kamienic i szerokich, dwupasmowych ulic, poprzecinanych szpalarami zieleni. Za dnia chodnikami spacerowali ludzie, po ulicach jeździły samochody, głównie jeden model, wielki i kanciasty, ale w różnych

kolorach; auta w świetle dnia przypominały rozsypane kredki turlające się po gigantycznym biurku; asfaltowe ulice zalewało słońce, ale ona wtedy szukała schronienia, jak szczur; wieczorami wszystko gasło, miasto robiło się puste i martwe.

Było coraz zimniej, jakby co minutę temperatura spadała o stopień. „Ale przynajmniej zaraz będzie mi ciepło, bo sobie umrę”, pomyślała. A zaraz pomyślała coś jeszcze – że może śmierć jest takim wiecznym zimnem, które nigdy się nie kończy.

Nigdy nie chciała być gruba. Przeglądała czasami kolorowe magazyny, gdzie wysokie i szczupłe kobiety reklamowały bluzki, spodnie i płaszcze. Potem patrzyła na siebie w lustrze i myślała, że gdyby nie twarz, to w sumie sama mogłaby ubierać się w różne ciuchy, dawać sobie robić zdjęcia i brać za to pieniądze. To musi być bardzo dobre zajęcie. Intratne i ciepłe. Była przekonana, słusznie zresztą, że ładnych ludzi wszyscy traktują lepiej. Po matce policjantce, brzydkiej kobiecie, odziedziczyła szeroką buzię, spłaszczony nos i małe oczy. Tylko figurę miała w porządku. Ale tak naprawdę twarz jest ważniejsza od sylwetki. Ludzie zawsze patrzą najpierw na twarz.

Nigdy nie chciała być gruba, aż do teraz. Teraz mogłaby być. W martwym mieście nikogo by to nie obeszło, a ją przynajmniej ochroniłby jej własny tłuszcz. Miała na sobie tylko sweter, w którym wyszła z domu. Sweter, dresy i trampki. Wyobrażała so-

bie siebie jako wielkiego, śpiącego wieloryba, dryfującego w lodowatej wodzie; miała małe, zamknięte, wielorybie oczka i ogromną, zamkniętą paszczę, do której przyklejone były całe kolonie mniejszych zwierząt. Czuła maleńką, wielorybią jaźń schowaną bezpiecznie w tonach tranu, pod lśniącą skórą, twardą jak arkusz stali. Roześmiała się. Sama do siebie, cicho. Śmiech zabrzmiał jak kaszlnięcie.

Stare kamienice wznosiły się nad nią jak złe pałace, a od całodobowego sklepu z alkoholem, parę kroków stąd, biło światło i wręcz namacalne ciepło, ale nie mogła już dłużej tam stać, wygonił ją sprzedawca. Oczywiście mógł zabrać ją na zaplecze, zagotować wodę i dać jej pić. Ale zrozumiała jego „spierdalaj”, wiedziała, dlaczego tak do niej mówi. Potwornie cuchnęła. Teraz, gdy przyciskała twarz do kolan, starała się oddychać ustami. Śmierdziała potem, brudem i gównem.

„Lepsze to, niż wiesz co”, nuciła sobie w duchu. „Lepsze to, niż wiesz co”.

Żeby chociaż przyjechał jakiś nocny autobus, do którego mogłaby wsiąść i dostać się na pętlę, ale nic nie wskazywało na to, by nocne akurat na tym przystanku się zatrzymywały. Była w tym mieście pierwszy raz i nie wiedziała nawet, czy kursują w nim jakieś nocne autobusy.

W jej rodzinnym mieście nie jeździły żadne autobusy, bo jej rodzinne miasto było dużo mniejsze. W jej rodzinnym mieście



JAKUB ŻULCZYK (ur. 1983), pisarz i scenarzysta. Zadebiutował książką *Zrób mi jakąś krzywdę... czyli wszystkie gry video są o miłości*. Za *Słepnąc od światła* został w 2014 roku nominowany do Paszportu „Polityki”. Za ostatnią powieść, *Wzgórze psów* (2017), otrzymał Nagrodę Literacką m.st. Warszawy oraz Literacką Nagrodę Warmii i Mazur. Współscenarzysta serialu *Belfer*.

były same wysokie bloki. W jednym z nich mieściła się szkoła, a w innym sklep. Gdy skończyła szkołę, poszła pracować w sklepie, na dziale z kosmetykami. Po pracy wracała do domu i robiła obiad dla matki i ojca. Ojciec siedział w pokoju, rozwiązywał krzyżówki i czekał, aż wróci matka.

Nocami wyobrażała sobie siebie jako różne dzikie zwierzęta. To przychodziło do niej samo. Bez tego marzenia nie mogła zasnąć. Najbardziej lubiła być ptakami, jakimikolwiek, nawet gołębiami, w końcu nawet gołębie mogą wzbicić się na chwilę w powietrze.

– Proszę wstać – usłyszała. To był głos mężczyzny, przytłumiony, ale głośny, jak mowa księdza. Chodnikami zbliżały się w jej stronę dwie sylwetki. Nagle zabolęły ją oczy. Światło latarki było ostre jak nóż.

– Wstań – usłyszała po raz kolejny. Chciała odpowiedzieć, że jej ciężko. Od zimna mięśnie zaczęły jej sztywnieć. Chwilę trwało, zanim skutecznie rozkazała swoim stawom podnieść ją do góry.

– Już sobie idę – powiedziała, uprzedzając pytanie, co tu robi. Stojąc, jeszcze bardziej czuła swój własny smród. To nie było tylko bycie brudną, to było coś, co nosiła od zawsze w środku, a co teraz wyciekało z niej porami na zewnątrz.

– Nigdzie nie idziesz. – Mężczyzna miał na sobie czarny mundur ciasno opinający ciało i był wielki jak olbrzym z bajki. Druga postać mogła być kobietą, ale była niewiele mniejsza od niego. Szeptala coś do trzymanego w dłoni urządzenia. Poza nimi na ulicy nie było nikogo. Zimno zaczynało gasić światła w oknach kamienic. Nie wiał wiatr, to zimno było statyczne, zawieszone w powietrzu jak niewidzialna girlanda z kłującej waty szklanej.

– Nigdzie nie idę – powtórzyła po nim.

– To znaczy tak, idziesz.

Kobieta odłożyła urządzenie.

– Idziesz z nami – powiedziała.

– Gdzie? – zapytała ona, a wtedy mężczyzna wyciągnął pałkę i z całej siły trzasnął ją w bok, aż przewróciła się na ziemię.

Zabolęło jakby ktoś oblał ją wrzątkiem.

Ojciec lubił bić matkę, sprawiało mu to przyjemność. To nie była furia, tylko rozrywka, jak krzyżówki. Miał na to różne patenty. Zmieniał je w zależności od samopoczucia. Plastikowe wiadro z wyszczerbioną krawędzią, wąż od prysznicy, ciężki i stary pilot od telewizora, pompka do roweru. Różne rzeczy. Dziwne rzeczy.

Ojciec lubił bić matkę; z nią, córką, robił co innego. Od tego, co robił, nie chce się już

żyć. By zamknąć wszystko, wystarczy niewiele odwagi. Tyle, co wstać z fotela po długim siedzeniu.

Gdy ojciec przychodził i kładł się na niej, wyobrażała sobie, że jest małym, jadowym pajakiem, który wchodzi mu do ucha.

– Zabierzmy ją na piątkę – powiedziała kobieta. Nie do niej, do mężczyzny. Mężczyzna mlasnął, a młaskanie w jego języku musiało oznaczać zaprzeczenie, bo odpowiedział:

– Na piątkę za luzno.

Już rozumiała prawie wszystko. Czy to jest wciąż lepsze niż tamto? Czy jest sens zadawać sobie takie pytania w długą zimową noc? Podnieśli ją do pionu, jakby była szmacianą lalką, pchnęli przed siebie, gdzieś w ciemność ulicy. Wszystko zlewało się w plamy – światła miasta, światła auta, które wyglądało jak wielka, czarna metalowa kostka.

Szła powoli. Obejmowała się ramionami.

Było w niej dużo strachu, ale też myśli o tym, że gdy już dojdą do auta, w środku przez chwilę będzie jej cieplej.

Że to, co mówili kobieta i mężczyzna, te dziwne, przytłumione zdania, bijące w ciemność jak pięści, oznaczało nie tylko ból, ale też ciepło.

– Dlaczego oni nigdy nie uciekają? – zapytał mężczyzna.

– Może nie wiedzą, co się dzieje?

MATKA PEWNEGO DNIA miała już dość bicia i wniosła o rozwód. Ojciec, o dziwo, zgodził się. Nie miał dochodów, nie było jak go wyeksmitować, tak więc sąd zobowiązał go do podpisania umowy: on wyprowadza się z mieszkania, ona zrzeka się alimentów. Matka przystała na te warunki, ojciec lokalu nie opuścił. Za to w niedzielę wieczór zgotował im kolację dziękczynną.

„Ale wam, kurwa, podziękuję”, powiedział. Włączył bardzo głośno telewizor, żeby sąsiedzi nie słyszeli. Wszystko sobie przygotował. Był zadowolony z obrotu spraw. Miał za co je karać.

Szarpnął ją za włosy i pokazał matce, co do tej pory robił z córką na osobności. Trwało to długo. Tyle, ile może trwać sto lat. Był trzeźwy.

Matka była jak pies, ale piosenkarz w telewizorze był jeszcze głośniejszy.

Następnego dnia jakby nie było. Nie wstała z łóżka. Nie umiała, zapomniiała, jak to się robi. Było zupełnie cicho i ciężko. Ktoś chodził po mieszkaniu. Była jak sparaliżowana. Nie chciało jej się ani jeść, ani pić. Ktoś chodził po mieszkaniu i miała nadzieję, że to zabójca.

– Zawsze wiedzą – odparł mężczyzna. – Po prostu nie mają już siły.

– Albo są tak głupi – powiedziała kobieta. Zaczęła biec.

Ciało nie dawało sobie zbyt wiele nadziei, było zdziwione, że biegnie w stronę przeciwną do ciepła. Niemal czuła, jak dobiegają do niej, łapią ją, przewracają na ziemię. Nie umiała biec.

Tupot ich butów był ciężki i miarowy, wsłuchiwała się w niego jak w rytm melodii na lekcjach tańca, kiedy nie można pomylić kroków. Między kamienicami był parkan z siatki; doskoczyła do niego, przez chwilę myślała, że zamrożnięte mięśnie pękają jak stare liny, ale jednak pokonała ogrodzenie i wylądowała po drugiej stronie; stopy w cienkich trampkach i gołe dłonie dotknęły chrzęszczącej koldry potłuczonego szkła. Z dłoni zaczęła płynąć krew. Krew była ciepła. Dziewczyna zerwała się, zaczęła biec dalej.

Huk wdarł się w zimną i ciemną ciszę, na moment wszystko wbiło się do góry. Ale ona biegła dalej.

Wbiegła w ciemną alejkę. Poczowała, jak coś łapie ją za rękaw swetra, jedna dłoń, potem druga, potem trzecia, ciach, jakby jakaś wieloręka istota próbowała wciągnąć ją do swoich ust, ale to nie były usta, to była brama, i dała się przewrócić, i w coś wpełznąć, w suchy, ale miękki szelest, w słony papier, w dziwny smak.

– Cicho bądź – usłyszała wyraźny szept tuż przy swoim uchu. Szept miał swój zapach, był to zapach tanich, pudrowych cukierków ze szkolnego sklepika, które czasami zjadała na przerwach.

Kroki ustały, ale wiedziała, że oni wciąż tam są. Jednak to, co przeżywała teraz, było ważniejsze, ciekawsze, silniejsze. Po raz pierwszy czyjeś ciało przycisnęło się do niej, nie chcąc jej skrzywdzić. Czyjeś ciało chciało jej pomóc. Chciało z nią rozmawiać.

Teraz wydawało bezgłośnie polecenia, które rozumiała w lot. Teraz kazało jej być nieruchomo. Leżeli zagrzebani w stercie liści, kartonów i śmieci. Jakies dwa metry od nich leżał ktoś jeszcze, przyjaciel, druga para rąk, które wciągnęły ją w to schronienie.

Wyobrażała sobie, że jest kretem. Że oczy zarosły jej cienką, różową błoną. Że jest pokryta miękką i gęstą czarną sierścią, która w dotyku przypomina rozarty między palcami puch dmuchawca. Że siedzi w wykopanym przez siebie tunelu i właśnie najadła się tłustą dżdżownicą. Że to przycisnięte do niej ciało to dobra, ciepła ziemia. Dobre ciało.

Drugie ciało.

– Kurwa – powiedziała kobieta, światło latarki fruwało bezładnie po bocznej uliczce. Widziała je, a właściwie bardziej czuła, tak jak czuje się wewnątrz swoich powiek po zamknięciu oczu.

– Jak ty potwornie śmierdzisz – powiedział szept. Te słowa sprawiły, że poczuła, jak kaciuki ust idą jej do góry, i to było najdziwniejsze ze wszystkiego.

– Wyjątkowy szczur. Rano jej poszukamy. Chodź – powiedział mężczyzna.

– Nienawidzę, gdy uciekają – powiedziała kobieta.

– Chodź. Pojedziemy na hot dogi. Chodź.

Usłyszała, jak odchodzą, i chciała się poruszyć, ale nie mogła, bo ciało przyciskało ją dalej do siebie, bardzo mocno. I dopiero, gdy tamci oddalili się na bezpieczną odległość, to drugie ciało pozwoliło jej wydać z siebie dźwięk, delikatny i cichy, dźwięk, który równie dobrze mógł być odgłosem polującego kota.



– Nie, nie tak. Trzeba to wszystko wypalić. Pokiwała głową, a matka powiedziała:

– Sama sobie poradzisz. Jedź do innego miasta.

Dała jej sweter. Była wczesna jesień.

– Pojedź ze mną.

Matka pokręciła głową.

WIECZOREM DO POKOJU weszła matka i podała jej na talerzu kilka kanapek z salcesonem. A ona doszła do wniosku, że będzie tak leżeć, patrzeć na te kanapki, obserwować, jak się psują.

– Uciekaj – poprosiła matka, stawiając talerz, ale ona dalej leżała w łóżku.

Ojciec czuł się świetnie, jadł i spał tak dobrze, jak nigdy. Pogwizdywał, krojąc sobie kotleta na dziesiątki drobnych kawałków, wpatrując się w teleturniej. Hasła quizu dotyczyły zagadnień przyrodniczych. Ona wciąż leżała w łóżku. Drugiego wieczoru, gdy zasnął przed telewizorem, przyszła do niej matka.

– Ubierz się i wyjdź z domu – powiedziała.

– Chodź ze mną.

– Już za późno – odparła matka i zaczęła wpychać jej chleb do ust, na siłę, palcami, a ona na to pozwalała, dopiero teraz płacząc. Znała matkę bardzo dobrze i w tej chwili zrozumiała, co ona chce zrobić.

– Nie, nie za późno – powiedziała, a raczej poprosiła. Dłonie matki były szorstkie i sztywne. Letnie, jakby w połowie martwe. Oczy matki były za to martwe całkowicie. W korytarzu stał brudny plastikowy pojemnik. Ostatni raz widziała go w samochodzie ojca.

– Przecież masz broń, z pracy.

To było najdziwniejsze zdanie, jakie wypowiedziała w życiu. A matka odpowiedziała jeszcze dziwniej:

– GRATULACJE. Właśnie uciekaś Sprzątającym – powiedział cukierkowy szept.

Nie chciała jeszcze pytać i było to mądre. Wstawanie trwało bardzo długo. Było jej ciepło. Mięśnie były miękkie. Głowie od razu zachciało się spać. Ale oni pchnęli ją do przodu. Przeszli przez podwórkę, potem weszli w bramę, z niej trafili na kolejne podwórkę. Co chwilę się zatrzymywali, nasłuchując, czy nikt nie idzie. W końcu znaleźli się na klatce schodowej, na której pachniało zasikany drewnem i gumolitem, i tym czymś, co wycieka ze starej baterii.

Usłyszała ciche pstryknięcie i bardzo blade światło zalało klatkę, i wtedy ich zobaczyła.

Szept o zapachu cukierków była kobietą, ale bardzo dziwną, chudą i bez piersi, z długimi włosami w kolorach ozdób sylwestrowych, z namalowaną na twarzy maską, błyszczącymi brwiami, w samych dzinsowych spodniach, z brudnymi dłońmi uwalanymi smarem. Szept wyglądała jak papuga, jak kolorowa i brzydka prostytutka. Obok stał chłopak, w starym, za dużym, czerwonym dresie, ogolony na łyso. Z nosa zwisał mu ogromny, okrągły, cienki kolczyk. Na czole miał wytatowaną różę.

Widziała takich ludzi w telewizji. Podobnych do nich. Prezenterka z dumą ogłaszała, że znowu przyłapano ich na nielegalnej aktywności i wysłano do fabryki albo obozu naprawczego.

– Wiesz, co oni robią? – zapytała Szept, ale jej głos już nie był szeptem, był mocnym i twardym głosem dorastającego chłopaka.

– Nie jestem stąd – odpowiedziała cicho.

– To skąd jesteś, słonko, z Kalifornii? – zapytała Szept, teraz z kolei głosem nabzdyczonej aktorki ze starego filmu. Chłopak zaczął się śmiać.

Wyobrażała sobie, jak to jest być papugą. Zastanawiała się, czy papugi widzą swoje własne kolory.

– Chodź – powiedziała Szept.

Szła za nimi dalej, bardzo długo. Z korytarza wyszli na kolejne, ciemne, małe i brudne podwórkę, a z podwórka trafili w kolejny korytarz, i tak w kółko, kamienice, podwórka i aleje tworzyły niekończący się labirynt. Jednak ten labirynt się zmieniał, im dalej szli, tym bardziej wszystko stawało się wyraźniejsze, prawdziwsze, bardziej ożywione, dźwięczne; z ciemności wyrastały kolejne szepty, jak czarne kwiaty; gdzieś z oddali słychać było zdania wypowiedziane w języku, którego nie rozumiała, uderzenia w dłonie, ciche klaśnięcia.

Tu, gdzie była w tej chwili, żyli ludzie.

Wyobrażała sobie teraz, że jest nietope-rzem.

– Na pewno znajdziesz jednego dobrego człowieka. Na pewno – powiedziała jej matka, jej głos był głuchy i pęknięty.

Założyła sweter i cienkie trampki. Nie miała innych butów. Matka polewała mieszkanie cieczą z kanistra, powolnymi ruchami świecącego dom księdza. Trochę cieczy trafiło na kwiaty. Trochę na drewnianą boazerię. Trochę na buty. Najwięcej na usypaną na korytarzu ścięgę z podartych gazet. Na uśmiechnięte, kolorowe twarze. Do połowy rozwiązane krzyżówki.

– Idź. – Matka wypchnęła ją z mieszkania.

Odwróciła się, by więcej na matkę nie patrzeć – wszystko w niej zgąsło i ten widok był okropny.

Potem stała przed blokiem, wpatrując się w ogień w oknach mieszkania – wyglądało to tak, jakby ktoś nagle zapalił w środku najjaśniejsze światło świata.

Nie płakała. Czuła się inaczej, czuła, jakby się najadła. To było właściwe. Miała tylko nadzieję, że matkę nie bolało długo.

– Spokojnie, oni się tu nie zapuszczają, boją się – powiedział chłopak.

– Kto? – zapytała. Zrozumiała, że biorą jej szybki i rwany oddech za oznakę strachu.

– Sprzątacze – wyjaśniła Szept. – Boją się, że ich zjemy. Bez obaw, kiedyś nas wypalą.

– Ale jeszcze nie dziś. – Chłopak zapalił kolejne światło na kolejnym korytarzu. Tym razem było czerwone. Z ciemności wyłoniła się pokryta miękkim, czerwonym pluszem podłoga. Napisy i rysunki na klatce schodowej, zrobione farbą i mazakami, plakaty i nalepki złane w kolorową breję obrazków, zdjęć, liter. I balony, pełno kolorowych balonów. I sztuczne kwiaty. I serpentyny. I kolorowa siatka, przyczepiona do sufitu.

Zaczęli wchodzić po schodach, aż dotarli do celu.

Korytarz był cały w lustrach. Gdy ktoś zapalał papierosa, żar rozszczerzał się w nieskończoną strugę gwiazd. W mieszkaniu było pełno ludzi. A może tylko odbijali się w tych lustrach i wcale nie było ich aż tak wielu?

Po chwili zaczęła odróżniać prawdziwych ludzi od ich odbić. Dojrzała kolejną dziewczynę, grubą jak jej marzenie na przystanku, w obcisłym, przezroczystym stroju, z brwiami niczym czarne sznury. I inną dziewczynę, z twarzą całą we fluorescencyjnej farbie. I nagego chłopaka w śmiesznej, plastikowej masce psa. Gdy zobaczyła jego nagość, odwróciła twarz.

– Jesteśmy jak flamingi – powiedziała Szept. – To są moje flamingi.

Nie zrozumiała.

– Gdy flamingi nie chcą się rozmnażać, otacza się je lustrami. Wtedy chętniej kopulują, bo myślą, że jest ich więcej.

Udała, że rozumie, pokiwała głową.

– Trzeba ją umyć. – Łysy chłopak wskazał na nią palcem. – Trzeba ją umyć, bo strasznie śmierdzi.

– Tak. Śmierdzą – powiedziała to zwykłym, spokojnym głosem, bo było to oczywiste i nie zamierzała za to przeproszać. Gdy wymówiła te słowa, coś oderwało się jej od gardła, kawałek starego śluzu.

I wtedy wszyscy ci ludzie stojący w korytarzu z luster zaczęli bić brawo, a w samych lustrach odbiło się coś, czego nie było naprawdę, jakby ktoś podświetlił je z drugiej strony kolorowym światłem – wielki, różowy fajerwerk. To było piękne i zaczarowane.

A potem podeszli do niej wszyscy, aby się jej przyjrzeć.

– Uciekła Sprzątaczo – powiedział chłopak.

– Nie jesteś stąd – stwierdziła gruba dziewczyna, a ona przytaknęła. Z pokoju wyszło jeszcze kilka innych osób. Mężczyzna w stroju żołnierza. Człowiek o nieokreślonej płci, obwieszony setkami małych łańcuchów. Wi-

dząc ją, przystawali, a dopiero potem robili krok w jej stronę.

– Jesteś piękna – powiedział ktoś.

– Jak masz na imię? – zapytał ktoś inny.

Nie odpowiedziała, a z dziury w jej trampkach wypełził mały, tłusty robak. Nikt go nie zauważył, ale ona wiedziała, że przyszedł do niej wtedy, gdy była kretem.

Potem leżała w starej, metalowej wannie, pełnej różowej wody, która wyglądała i pachniała jak owocowy budyń. Łazienka była wysoka, z sufitu zwisał oklejony cekinami manekin.

Wyobrażała sobie, że jest barwną tropikalną rybą, która zjada łodygi lilii wodnych i tańczy w ciepłej wodzie, szybka i zwinna. Wyobrażała sobie, jak idzie spać, jak zapada się w ciepły muł. Widziała, jak pod wpływem brudu z jej ciała woda nabiera coraz ciemniejszego odcienia.

Od dziewczyny z brudną twarzą dostała stary, czysty ręcznik i miskę kolorowej zupy, z warzyw, jakich nie jadła nigdy w życiu. Potem usiadła w wielkim pokoju, razem z innymi, w pokoju wyłożonym kocami; Szept tańczyła do bardzo głośnej, mechanicznej muzyki, która brzmiała jak powoli rozpadająca się budowla, a oni wszyscy patrzyli. Potem ktoś inny połykał ogień i wypuszczał w powietrze płonące koła i serca.

– Gdy będą nas palić – powiedziała Szept – w powietrze polecą właśnie takie serca.

Kiedy tutaj jechała, w wagonie towarowym był z nią jeszcze jeden człowiek. Nie widziała go w ciemności. Wyskoczył wcześniej niż ona. Nie widziała jego twarzy, ale miała wrażenie, że jest stary. Powiedziała mu wszystko, bo słuchał w milczeniu i niewiele mówił, dał jej trochę twardego chleba.

– Wszędzie jest tylko gorzej – powiedział.

– To czemu pan jedzie tym wagonem? – zapytała.

– Uciekam – odpowiedział.

– No to fajnie, bo ja też uciekam – odparła.

On się zaśmiał, po raz pierwszy ktoś zaśmiał się serdecznie z tego, co powiedziała.

Nie od razu zrobiło jej się ciepło. Zimno się w niej kurczyło, teraz przypominało już tylko cienką nitkę biegnącą przez kręgosłup i żołądek, od karku do miednicy. Dali jej czyste ubrania – spraną koszulkę z godłem Polski i kolorowe spodnie, i grube skarpety, i starą męską kurtkę. Znowu objęła nogi ramionami, wciskając nos w kolana.

– Patrzysz na nas jak przestraszony pies – powiedziała gruba dziewczyna i dodała: – możesz mówić na mnie Mirelle.

– To piękne imię – odparła.

– A jak ja mam mówić na ciebie? – zapytała Mirelle.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała po chwili.

Nigdy nikt tego nie robił. Nikt nigdy na nią nie reagował. Nie zatrzymał się przy niej dłużej, nie uważał jej za potrzebną. Sama nie umiała za bardzo mówić ani dłużej się komuś przyglądać, bo za każdym razem ogarniał ją lęk. Z tego powodu ludzie uważali ją za trochę głupią. Może to przez te małe oczy i szeroką twarz. „Alicja to jest trochę cofnięta”, mówiły dzieci w szkole. „Alicja, najlepiej nie myśl za dużo”, mówiła kierowniczka w sklepie z pasmanterią, podczas gdy ona stała i patrzyła na klawisze kasy fiskalnej, cyfry, których nigdy nie umiała połączyć w całość. „Alicja. Głupia, ale grzeczna. Zgrabna, ale brzydka”.

„Alicja, takie ładne imię dla tak nijakiej osoby”.

„Alicja”, dyszał ojciec, a ona wyobrażała sobie, że jest pajakiem wchodzącym mu do mózgu.

A potem leżała pod kołdrami, na podłodze, wszystko pachniało środkiem do dezynfekcji, i wyobrażała sobie, że jest człowiekiem, bezbronny, ale bezpiecznym, chudym, ale grubym, przywalonym kołdrami i kocami na podłodze obcego domu, który nagle stał się domem. Uszkodzonym, ale wciąż żywym. Człowiekiem, który potrafi uciekać i się chować, a to bardzo dużo.

I gdy tak leżała, znowu poczuła przy sobie obce ciało i zapach pylistych cukierków.

Silne i chude ręce przycisnęły ją do siebie, chcąc czegoś dobrego. Poczuła ciepło w żołądku. – Jak masz na imię? – zapytała Szept.

Nie odpowiedziała.

– Jak masz na imię? – Pytanie się powtórzyło.

– Nie mam imienia. Jestem wielorybem – odpowiedziała.

Więcej na ten temat możesz posłuchać
20 listopada po godz. 8:00
na antenie

chillizet

Warszawa 101,5 FM, Katowice 93,6 FM,
Kraków 93,7 FM, Hel 107,8 FM oraz na
www.chillizet.pl

Kup książkę



NATALIA
FIEDORCZUK-
-CIEŚLAK

(ur. 1984), pisarka,
instrumentalistka,
kompozytorka.
Laureatka
Paszportu
„Polityki” 2016
w kategorii
literatura za *Jak
pokochać centra
handlowe*. W 2018
roku ukazała się jej
powieść *Ułga*.

Fenomeny

Kiedy jest pięknie, tym bardziej boli – piszę wiadomość koleżance, w odpowiedzi na stwierdzenie, że z trudem znosi wysoką estetykę tegorocznej jesieni. Droga z Kaszub do domu, po wijącej się i usianej dziurami leśnej szosie, przypomina mi o tym zdaniu. Jesień jest piękna, jest też niezwykle przedłużająca się, niby zakonserwowana w formalinie. „Spadnijcie już, liście – myślę. – Drzewa, wytysiejcie”. Nieznośnie słoneczna, ciepła i łagodna. Wszyscy rozpływają się w zachwytach i fotografują telefonami rozplątane korony, mnie tegoroczna jesień dekoncentruje i wywłaszcza z podmiotowości. Nie umiem, nie mogę uznać tego piękna za fakt, zbyt mi rozprasza, każe analizować porządki, fraktalne struktury – obezwładnia mnie chaotyczność natury, którą ktoś arbitralnie nazwał urodziwą. Piękno – to rozproszona i niejasna kategoria, którą łatwiej odnieść mi do materialnej reprezentacji: piękna sukienka, piękny nos, piękne dziecko, w tym momencie, tutaj i teraz. Sukienka za chwilę się pogniecie, podrze, wyjdzie z mody, nos zestarzeje: skartofli się i zgrubieje albo haczykowato przygarbi, dziecko zaś uwali się czekoladą i błotem.

Jesień to preludium zimowej hibernacji, która jest antytezą życia. Dlaczego ta zmiana nie postępuje łagodnie i zrozumiale, stopniowo zmniejszając saturację i nasycenie? Dlaczego natura obumiera niezrozumiałym, histerycznym aktem strzelistym: błękitnym niebem, skonstrastowanym z bujnym trójwymiarowym różnokolorowym drzew? Kładzie ci się wrzaskliwym, ognistym Rejtanem pod stopami: liście, lśniące skorupki kasztanów, zapach ognisk. A co jeśli czekasz na zimę – coroczną śmierć, która najpełniej oddaje ten dziwny rodzaj dystansu do otaczającego świata, skorupę osobności, która chroni ciało tak jak warstwy ciepłych ubrań. Tak jak najtrudniej przechodzić angię w upalne lato, tak samo trudno dostrzegać piękno jesieni, gdy jest się w depresji.

Przywiązanie do określonego porządku znaków i symboli nigdy nie należało do moich mocnych stron. Ciężko słucha mi się sezonowych zachwyty, beztroskich peanów o babim lecie, nie gustuję w grzybobraniu i nalewkach z jesiennych darów

ogrodu i lasu. Po latach studiowania przypadłości, która towarzyszy mi od wczesnej młodości – chronicznej melancholii – próbuję za radą któregoś z terapeutów poszukać jej – ha, ha, doprawdy – dobrych stron. Pomaga literatura, na przykład *Czarne słońce* psychoanalityczki Julii Kristevej. Opisuje ona stan poliwalencji semantycznej depresanta – ponieważ pacjent odkleja się od naturalnego świata znaczeń, reakcji, spodziewań, pojawia się przed nim „możliwość wyobrażenia non-sensu lub sensu prawdziwego Rzeczy”. Zyskiwać ma, według autorki, rodzaj nadprzenikliwości poznawczej. Kristeva opisuje doświadczenie swojej pacjentki Anny, która swój smutek – przeciągający się i bolesny – stawia w opozycji do rozpędzonego, niezrozumiałego świata. Dodam, że „pęd świata” nie dotyczy tylko przejawów cywilizacji – depresanta może emocjonalnie powalić powiew wiatru, a spadający na twarz liść urazić niczym siarczasty policzek. Anna wychodzi ze swojego bólu, bowiem przebywanie w nim „za życia” jest wstydlive, okrutne, wręcz niemożliwe: staje niejako na granicy obserwacji samej siebie i świata. Przebywa w chronicznym stanie przejściowym, w buddyjskim bardo, gdzie „mówi na skraju słów, ma wrażenie, że jest na skraju swojej skóry, ale podstawa jej smutku pozostaje nietknięta”. Opisywanie piekła depresji to zadanie niemożliwe, uwłaczające, a czasem nieetyczne, cierpienie wymyka się semantyce, opisy i podróże w głąb bólu banalizują go i unieważniają. Ból ten istnieje, ale nie sposób go nazwać, nie ułatwia tego klasyczna depresyjna prozodia, odzierająca język mówiony pacjenta z emocjonalnego nasycenia. Nie ułatwia tego też dekoncentracja i gubienie słów. Zamknięcie opisu własnego doświadczenia nienamacalnego cierpienia w klamrze sensownej wypowiedzi może okazać się niewykonalnym zadaniem, bowiem depresja jest rozproszaniem, rozbiciem wszelkich sensów. Pacjent depresyjny dostaje jednak coś w zamian: ową przenikliwość, która graniczy z szaleństwem, gdzie dostrzega się morze wad, wypaczeń i bylejałości, w której pływamy na co dzień. I co ważne, co wiedziały też całe zastępy dotkniętych depresją literatów: łatwiej o tym wszystkim napisać, niż wygłosić mowę.

To nie jest kwestia hematologii

z PROFESOREM KAROLEM MODZELEWSKIM
rozmawia KALINA BŁAŻEJOWSKA

WSTYD JEST OBJAWEM uczuć patriotycznych.

Jeśli uwiera mnie coś, co uczynili Polacy, to znaczy, że łączy mnie z nimi więź.

Jakie ma pan plany na 11 listopada?

Żadne, prawdę mówiąc.

Dostał pan zaproszenie na obchody?

Nic takiego nie dostałem.

A do Komitetu Obchodów pana zaproszono?

Nie. Kto jest w tym Komitecie?

Prawie sto osób, głównie polityków i szefów rozmaitych związków. Jest też podgrupa „szczególnie zasłużeni dla Państwa Polskiego”.

To pewnie jacyś dziadkowie, którzy walczyli w Legionach. Może jeszcze żyją.

Musieliby mieć 120 lat... A więc państwo polskie w stulecie niepodległości w żaden sposób się o pana nie upomniało?

Jestem tak wychowany i tak doświadczony, że jak państwo się o mnie nie upomina, to ja się cieszę.

A gdyby pan dostał zaproszenie na oficjalne uroczystości, toby pan poszedł?

Nie mam pojęcia, nie rozważałem takiej możliwości. Zresztą zakładałem, że nie dostanę.

Dlaczego?

Bo nigdy nie dostawałem. Otrzymałem tylko – przez pośrednika – propozycję udziału w Narodowej Radzie Rozwoju, z której nie skorzystałem.

Za czasów prezydenta Dudy?

Oczywiście, przedtem ciała o nazwie Rada Rozwoju nie było. Zapytałem: „Rozwoju czego?”, ale nie dostałem odpowiedzi.

Pytam, bo istnieje dylemat, czy z obecną władzą powinno się cokolwiek świętować. Niektórzy demonstracyjnie nie przychodzą na państwowe uroczystości, inni demonstracyjnie z nich wychodzą.

Jeśli mam być szczery: dziękuję organizatorom, że mnie nie zaprosili. Nie musiałem się nad tym zastanawiać.

Niektórzy odmawiają też przyjmowania odznaczeń. Na stulecie niepodległości prezydent ma przyznać dwudziestu pięciu osobom pośmiertnie Ordery Orła Białego: Żeromskiemu, Reymontowi, Skłodowskiej-Curie... Są w tej komfortowej sytuacji, że nie mogą odmówić.

A ja jestem w tej komfortowej sytuacji, że nie można mi tego orderu po raz drugi przypiąć. Dostałem jeszcze od Kwaśniewskiego. Cóż, miło mi, że panią Skłodowską-Curie będę mieć wśród towarzyszy.

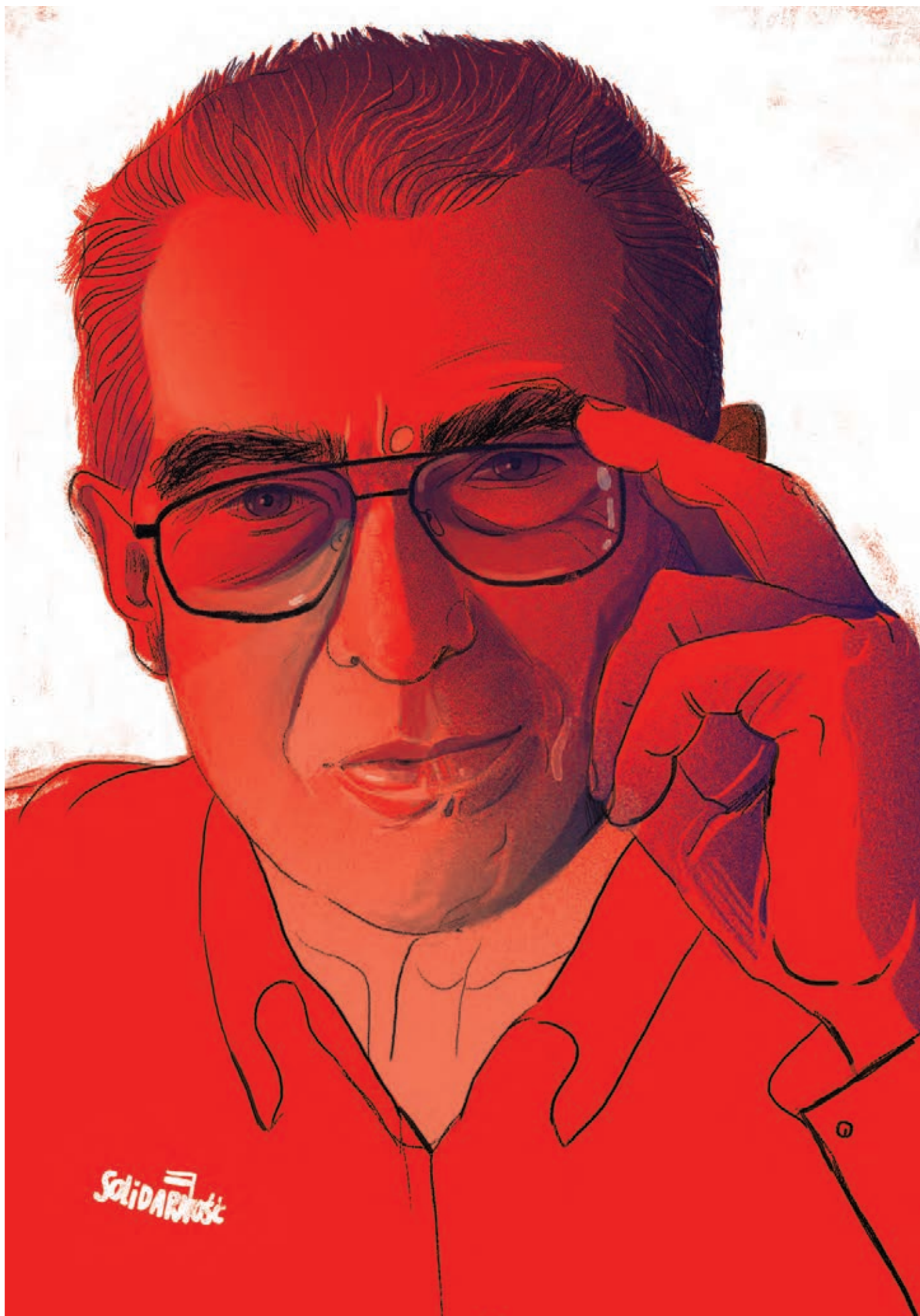
Może coś innego zwróciło pana uwagę w tych obchodach?

Wie pani, trochę wypadłem z obiegu, jeśli chodzi o informowanie się o różnych pikanteriach. Ostatnio miałem trzeci udar mózgu. Wprawdzie trafiło mnie – jak poprzednio – w miejsce, które nie rządzi mową i motoryką, więc mógłbym śledzić te informacje... Ale nie bardzo miałem czas, siłę i chęć.

Myślę natomiast, i tu już mówię całkiem serio, że trzeba wreszcie odebrać to święto organizacjom faszystującym i faszystowskim. To aberracja, horrendalne kłamstwo, od którego każdemu historykowi powinny włosy na głowie stanąć dęba i osiwieć. Przypomnę, że 11 listopada, czyli

PROF. KAROL MODZELEWSKI (ur. 1937), historyk mediewista, działacz opozycji demokratycznej, dysydent i więzień polityczny. Kawaler Orderu Orła Białego. Autor nagrodzonej „Nike” autobiografii *Zajeżdżimy kobylę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*.

Kup książkę



dzień powrotu Piłsudskiego z Magdeburga, było świętem sanacji, nie endecji. I w żadnym wypadku nie przedwojennego ONR, który został przez Piłsudskiego zdelegalizowany.

Pierwszy rząd Niepodległej był rządem lewicowym, więc jeśli ktoś ma prawo do tego święta, to socjaliści. Tylko gdzie pani ma tych socjalistów? Właściwie to ja powinienem ich reprezentować, ale czuję się trochę samotnie w tej roli.

Święto Niepodległości zostało ustanowione w 1937 roku, przed wojną obchodzono je tylko dwa razy.

I oczywiście endecja mówiła, że to jest obrzydliwe, żeby czcić tego szczęśliwie zmarłego sukinsyna Piłsudskiego. Nie chcę zresztą nic ujmować międzywojennym endekom – było tam bardzo wielu przyzwoitych ludzi. Za to w ONR było ich bardzo niewiele, jeżeli w ogóle jacyś. Nie wolno tolerować tego, że polscy pogrobowcy faszyzmu sięgają po tradycję, z którą nie mają nic wspólnego.

Mieli być we wspomnianym Komitecie Honorowym. Prezydent obiecał zaprosić organizatorów Marszu Niepodległości, ale potem się z tego wycofał.

Rozumiem, że był obok niego ktoś, kto się znał na historii. Bo Andrzej Duda powinien się znać na prawie, nie na historii.

Różnie z tym bywa.

Myszę, że się zna, tylko się przejmuję.

Kiedy zawetował dwie z trzech ustaw sądowych, wydawało mi się, że jednak postanowił się przeciwstawić temu demontażowi prawa i praworządności w Polsce. Ale później wszczęto z nim rozmowy, chytrze obarczono go napisaniem poprawek, potem zaczęto te poprawki zmieniać... Krótko mówiąc: zρέcznie sprowadzono go do parteru. On to przyjął do wiadomości i w tym parterze dalej działa. Więcej nie powiem. To jest prezydent mojego państwa, a ja jestem przyzwyczajony, żeby o tym urzędzie mówić z szacunkiem.

Gdzie jest Polska sto lat po odzyskaniu niepodległości? W jakim dziejowym miejscu?

W fatalnym. Jesteśmy w punkcie rozstawania się, rozdarcia z Europą, która była... (proszę zauważyć: mówię „była”, tak jakby rzecz się dokonała) naszym umocowaniem wobec niebezpieczeństwa ze Wschodu. Oczywiście dobrze, gdyby Amerykanie zbudowali w Polsce bazę, to byłoby w naszym narodowym interesie, ale nawet taka amerykańska baza nie zastąpi umocowania Polski w Unii Europejskiej.

Nie uchroni nas Fort Trump?

Niech mnie pani nie rozśmiesza. Nie będzie, przypuszczam, żadnego Fortu Trump. Poza tym to brzmi jak z westernu. Jakby Duda taką bazę naprawdę załatwił, to będę mu pierwszy bił brawa. Ale na razie jeszcze dale-

Pierwszy rząd Niepodległej był rządem lewicowym, więc jeśli ktoś ma prawo do tego święta, to socjaliści. Tylko gdzie pani ma tych socjalistów? Właściwie to ja powinienem ich reprezentować, ale czuję się trochę samotnie w tej roli.

ko do rezultatu, nie jesteśmy w ogródku i z żadną gąską się nie witamy.

Natomiast tym, co niewątpliwie łączy Trumpa z Dudą – no, nie tyle z Dudą, co z Kaczyńskim, zachowajmy właściwą hierarchię – jest niechęć do Unii Europejskiej.

Bo Unia to „jakaś wymaginowana wspólnota”. Tak mówił prezydent na wiecu w Leżajsku.

Wiem z własnego doświadczenia, że jest coś takiego w kontakcie z tłumem, co człowieka niesie. Ale ktoś, kto ma już trochę wiecowego doświadczenia, powinien zachować przytomność umysłu.

A może prezydent tak właśnie rozumuje? Prawdziwa wspólnota to jest Polska, wyłożył to wprost, cytuję: „Niech nas zostawią w spokoju i pozwól nam naprawić Polskę, bo to jest najważniejsze”.

Jeśli uznał, że musi trzymać wspólny front z destruktorami polskiej praworządności, to pewnie musi też reagować na działania Unii wobec Polski. Ale sytuacja, w której nie da się trzymać wspólnego frontu, mówi sama za siebie.

Czyli Europa to nie wymaginowana wspólnota?

Europa to wspólnota zagrożona. Zagrożona między innymi przez to, co się dzieje w Polsce, na Węgrzech, w Austrii, we Włoszech. W skrócie: przez populizm w wersji autorytarnej. Czy raczej taki, który ma skłonność do budowy państwa policyjnego. Nie lubię słowa „autorytaryzm”.

Dlaczego?

Bo uważam, że jak się chce o tym rozmawiać, nie należy zwracać się do salonu, tylko do prostych ludzi. Do nich lepiej mówić o państwie policyjnym. Uważam też, że niedobre jest nazywanie reformą tej samowolki, którą się wyczynia z polskim sądownictwem. I że zamiast o trójpodziale władzy, lepiej mówić o sądach, które nie są marionetką w rękach rządzących, jak były w Polsce Ludowej. Ci, którzy doświadczyli tego na własnej skórze, pamiętają. Ci, którzy nie doświadczyli, niech się liczą z pamięcią innych. Ja to mam wypisane na plecach.

Ale jeśli prezydent uznał, że musi być lojalny wobec swojego obozu politycznego, nie wobec swojego narodu, to ja na to nic nie poradzę.

Ta władza utożsamia naród ze sobą samą.

Każda władza ma taką skłonność. Gomułka też utożsamiał naród ze sobą. Nawet Bierut utożsamiał.

Wtedy wrogiem polskiej niepodległości był Związek Radziecki. A dzisiaj...

...zagroża nam tendencja Rosji do powrotu do polityki imperialnej. Oczywiście tylko w pewnym stopniu, bez przesady.

A tendencja polskiego rządu do odwracania się od Europy?

Ona nas osłabia i tym samym wprowadza w rosyjskie sidła. Z łatwością sobie wyobrażam, jak otoczenie Pu-

tina zechce zostać naszymi obrońcami... Coś pani opowiem. Jesienią 1997 roku, gdy byłem już politycznym outsiderem, przyjąłem zaproszenie na konferencję naukową „Polski kryzys 1988–1992 – wymiary wewnętrzne, wymiary międzynarodowe”. W Jachrance pod Warszawą zebrali się uczestnicy z polskiego, rosyjskiego i amerykańskiego teatru wydarzeń. Właśnie tworzył się rząd Buzka, więc reprezentacja strony solidarnościowej była bardzo skromna: tylko ja i Zbyszek Bujak. Z dawnej strony rządowej – bardzo bogata: Wojciech Jaruzelski, Florian Siwicki, Mieczysław Rakowski, Stanisław Ciosek... Ze strony rosyjskiej – wspinała: dowódca sił zbrojnych Układu Warszawskiego marszałek Wiktor Kulikow i szef sztabu Układu Warszawskiego generał Anatolij Gribkow. Ten był szalenie mowny. Na samym początku powiedział, że powinniśmy im – radzieckim marszałkom i generałom – wierzyć. „Na potwierdzenie prawdziwości moich słów daję wam słowo honoru – słowo starego frontowego żołnierza, który szlak boju rozpoczął w 1939 roku”. Zrobiło się bardzo cicho, on usłyszał tę ciszę, zrozumiał, co powiedział, i dodał: „No, oczywiście na froncie fińskim”. Ale mleko już było rozlane.

Potem mówili, że oni nigdy nie zamierzali nam żadnej krzywdy zrobić, że my jesteśmy bracia Słowianie. I że ekspansywność Zachodu może być dla nas, zwłaszcza dla naszej słowiańskiej duszy, śmiertelnym zagrożeniem, wobec czego powinniśmy się byli uciec pod skrzydła Rosji, która zapewniłaby nam ochronę.

Do czego pan zmierza?

Do tego, że o zagrożeniu ze strony zachodniej Europy już nie śpiewają generał Gribkow ani marszałek Kulikow, tylko śpiewa polska rządowa propaganda.

W czasie tej konferencji generałowie radzieccy mówili jeszcze: „Nigdy w życiu nie zamierzaliśmy interweniować w Polsce! Skąd! To tylko Wojciech Władysławowicz nas o to stanowczo prosił. Ale my mu twardo odpowiadaliśmy, że nie będziemy się w to mieszać”. Zapytano ich wtedy: „Dobrze, a w grudniu 1980 roku? Na wschodniej granicy stało osiemnaście dywizji radzieckich w pełnym bojowym składzie, na południowej dwie dywizje armii czechosłowackiej, na zachodniej dwie dywizje armii NRD. Był ustalony dzień wkroczenia, był przesłany plan do sztabu generalnego Wojska Polskiego. Ta mapka się zachowała, są na niej narysowane strzałki, jak te dywizje otaczają główne polskie miasta i ośrodki przemysłowe. No i co to było? Ćwiczenia?”. Wtedy marszałek Kulikow odpowiedział w rozpaczy: Eta nie plan. Eta tylko namiotka planu (To nie żaden plan. To tylko szkic planu).

Ja bym proponował, żebyśmy – tak jak wtedy nie uwierzyliśmy – tak i dzisiaj nie wierzyli, że to tylko szkic planu. Bo ten plan jest do pewnego stopnia wieczny. I żebyśmy, wstając z kolan przed Zachodem, nie zatoczyli się w objęcia naszych słowiańskich braci ze Wschodu.

Czytał pan ostatnie rewelacje „Polityki” o powiązaniach afery taśmowej z Rosją?

Czytałem i odnoszę się do tego z powagą. Trudno się za to odnieść z powagą do działań służb specjalnych za rządów Platformy, które nic w tej sprawie nie potrafiły zdziałać.

Wprawdzie nagrywanie zrobiło się w Polsce w dobrym tonie, stało się rodzajem gry towarzyskiej, to sam pomysł używania podsłuchów w polityce jest typowo ubeckim chwytem, ubecką robotą. Czy mogły za tym stać rosyjskie służby? Nie wykluczałbym, póki się tego nie zbada. Kto się będzie wypierał, będzie podobny do tych nożyc, co się odzywają przy uderzeniu w stół.

To nie jest błahostka, za tym się czai groźba kompromitacji obozu rządowego, który na taśmach skorzystał w wyborach. [Rozmawiamy pod koniec września, przed ujawnieniem „taśm Morawieckiego” – przyp. aut.]

Może partia liczy, że się uda przeczekać.

Nie wiem, nikt z tej partii ze mną swoich kroków nie konsultuje. Ale nie wyobrażam sobie, że ta sprawa ucichnie. Zawsze będą ludzie zainteresowani jej odgrzewaniem. PiS powinno zrobić wszystko, żeby rozproszyć najmniejsze podejrzenia w tej kwestii.

Cztery lata temu też udzielał pan wywiadu na rocznicę niepodległości, ale dla „Tygodnika Powszechnego”. Na rok przed wyborami parlamentarnymi mówił pan, że „Polska ma miękkie podbrzusze” i jest zatruta toksyną nieufności, która może zniszczyć demokrację. Szybko się sprawdziło.

Wolałbym, żeby się nie sprawdziło. Jeśli mogę doprecyzować: naszym miękkim podbrzuszem jest to, co się stało w czasie przekształcenia ustrojowego.

Powtarza pan, że polska transformacja jest obciążona grzechem pierworodnym.

Ja lubię triadę francuską, więc do niej się odniosę: mieliśmy wolność, nie mieliśmy równości, a braterstwo zerwaliśmy. Braterstwo z tymi wszystkimi, którzy zostali potraktowani jako niepotrzebny spadek po Polsce Ludowej, głównie z robotnikami i inżynierami wielkiego przemysłu.

W tym był od początku ton wielkopańskiej pogardy dla „ciemnego ludu”: niech on nam nie przeszkadza w budowaniu nowoczesnej Polski. I dzisiaj płacimy za to rachunek. Zerwanie braterstwa zawsze kosztuje bardzo drogo. Pogłębia się pęknięcie kulturowe, widać je w życiu rodzinnym, w niemożności komunikacji.

Najbardziej chyba w mediach.

Oczywiście. Chiński mur oddziela dwa sposoby myślenia, argumenty jednej strony są pustym dźwiękiem po drugiej.

Jeśli chcemy wyjść z sytuacji, w której znaleźliśmy się po 2015 roku, to nie możemy się ograniczać do deklamacji o zagrożonej demokracji, rozumiałej tylko dla wielkomiejskich inteligentów. Sposobem nie jest również zawieranie koalicji między przegranymi partiami, bo to nie



Ja bym proponował, żebyśmy – tak jak wtedy nie uwierzyliśmy – tak i dzisiaj nie wierzyli, że to tylko szkic planu. Bo ten plan jest do pewnego stopnia wieczny. I żebyśmy, wstając z kolan przed Zachodem, nie zatoczyli się w objęcia naszych słowiańskich braci ze Wschodu.